

Samotność

„Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy wchodzicie”

Dante Boska Komedia

„Rozpacz jest na granicy, gdzie poryw egoizmu nędznie bojaźliwego i dumnie uparta zuchwałość spotykają się w równej niemocy”

Soren Kierkegaard

Wczesne lata dziewięćdziesiąte. Karnawał. Bal piżamowy w jednym z jastrzębskich lokali.

- Mati, a on grzebie w mojej torebce!!! - Lekko wcięta, prezentująca się w różowych tiulach Cynia alarmuje o zamachu na święte prawo własności zarówno swojego chłopaka, jak i wszystkich doskonale bawiących się piżamowców.

Podeksytowane towarzystwo gromadzi się wokół miejsca przestępstwa. Kacper jakby zamarł na chwilę z ręką w pękatej, damskiej torebce. Konsternacja. Niedoszły grabieżca prostuje się nagle, poprawia szlafmycę, chrząka i oznajmia:

- Potańczyli, popili, zakąsili; taaa... trza iść. W tym momencie Mateusz wali go mocnym zamachowym prosto między oczy. Kacper fika przez oparcie siedziska na podłogę.

Kacper, więc. Kim jest ów Kacper? Ano jest pięćdziesięciosześcioletnim mizantropem, który odrazę ma wpisaną w herbie. Zresztą nie ma się czemu dziwić; czterdzieści lat temu uwierzył, a kilku ówczesnie opiniotwórczych krytyków literackich w tym go utwierdziło, że jest młodym, dobrze zapowiadającym się poetą. Uwierzył w swoją wielkość i tak mu zostało aż do teraz.

Chociaż właśnie umiera i jest sam.

A kiedyś; rozbierane sesje fotograficzne na cmentarzu. Fiut i blada dupa między nagrobkami. Tak, tak, to było coś. Wszystkim szczeny opadały.

Spieniężenie bez wiedzy i woli kolegi jego maszyny do pisania. Maszyna do pisania za komuny! Dwa litry wódki w rewanżu, a za resztę niewielka tabliczka nagrobna dla samego siebie. Dwudziestodwuletni

zdrowy byk. Eh..., ale to było coś. Szczeny poopadały wszystkim, łącznie z właścicielem maszyny.

Jego matka i siostra wiecznie zarzekające się, że „ostatni raz dostał ode mnie pieniądze” i każdego dnia finansujące go od nowa. Należność tak zwykła, że szczeny opadały.

Deklaracja na wiadomość o śmierci, zdawać by się mogło, przyjaciela: „Pierdolę go. Zawsze go pierdolilem.” Szczeny opadły, a potem się zacisnęły.

Nikommu nic w tym życiu nie oszczędził. Knuł, intrygował, oszukiwał, kradł i żywił pogardę. Tysiące małych świństw i żeby nie było, tylko i wyłącznie małych, cuchnących nikczemności. Jakies tam zniesławianie dziewczyn, które odrzuciły jego awanse, jakieś to tu, to tam, niby niewinne, ale pogardliwe i nieuprawnione uwagi pod adresem innych artystów, z cicha pęk szerzone w środowisku, jakieś drobne kradzieże, prawie zawsze dostrzegane, ale których już nikt nie chciał zauważać i to wieczne, już nawet nie wypowiedane, ale dla wszystkich oczywiste roszczenie: „mnie się należy”.

I co?

Setki, napisanych z dużym talentem, pełnych obrzydzenia wobec człowieka wierszy na dnie szuflady.

Kilka publikacji w prasie literackiej jeszcze z czasów PRL-u i chyba dwie współczesne w niszowym i prowincjonalnym piśmie artystycznym.

Mit nadczłowieka w konfrontacji z moralnym smrodem, strachem przed odbiorcą, brakiem rozpoznawalności i bez najmniejszych szans na ziszczenie się przekonania, że „powodzenie poety rozpoczyna się z dniem jego śmierci”.

Sam wszystkich od siebie odrzucił i teraz jest sam, i za chwilę umrze.

Złajdaczaleś Prometeuszu.

„Miłość to czuwanie nad cudzą samotnością”

Rainer Maria Rilke

Zaciska piąstki na firanie, bo za oknem dzieje się coś niesłychanego.

- Marek! Marek! Piasek pada.

Jest dwudziesty grudnia i dzisiaj po raz pierwszy w tym roku spadł śnieg. Spadł i to jak.

- Wiesz co, Olu? Ubierzemy się ciepło i pójdziemy lepić bałwanka.

- Bałwanka? A co to bałwanek?

Jakież to urocze. Małego bąbelka spotyka nieznane i nie wiadomo groźne to, czy przyjazne może. Musi miło zapamiętać ten jej pierwszy śnieg.

Postępuje z wysiłku tocząc śnieżną kulę. Białe płatki prawie natychmiast zamieniają się w kropelki wody w zetknięciu z jej zaczerwienioną od mrozu buzią.

- Zimne, zimne - mamrocze pod noskiem, ale wytrwale lepi bałwanka i bardzo dobrze się bawi.

Mała kłania się teatralnie wszystkim przechodniom dokonując przy tym pełnej prezentacji:

- Dzień dobry. Ja jestem Ola, a to jest mój Marek.

Marek, Krzysiek, Michał, Jurek. Eh, pogubić się można.

W jaki sposób wytłumaczyć niespełna trzyletniemu dziecku, że jego ojciec siedzi w więzieniu, bo dopuścił się czegoś złego? Jak mu objaśnić, co to jest, to więzienie?

W dziecięcym umyśle małej Oli fochy z jej strony i co najwyżej podniesiony głos ze strony mamy wiążą się nierozzerwalnie ze zjawiskiem winy i kary, i opisują zagadnienie zupełnie, jak dla niej wyczerpująco. Nic z tego więzienia nie rozumie.

Tata... tata... Kto to jest ten tata?

Małeńkie doświadczenie życiowe poparte jednakże znakomitą zmysłem obserwacji każe jej myśleć, że tata to taki pan, który nie tylko mieszka z mamą i dzieckiem, czasem kilkorgiem dzieci, ale także je kocha. Jednakże cała ta konstrukcja myślowa, wypracowana z mozółem rozpada się, kiedy mama wieczorem, już po bajce na pytanie Oli: „Czy Krzysiek to mój tata?” - odpowiada: „Nie. Śpij już”, a przecież mieszkają u Krzyśka, a on je kocha. Wcześniej mieszkali u Michała i też jej kochał. On również nie był tatą, więc co?...

Mała nie doznaje żadnych specjalnych krzywd, ba, naprawdę jest kochana; wszyscy ją kochają, ale kiedy słyszy inne dzieci wypowiadające to magiczne słowo: „TATA”; „Tato, daj mi”, „Tato, chodź ze mną”, „Tato, kup mi”, to w jej małym serduszku rodzi się tęsknota wielka jak ocean. Zamyśla się wtedy dziwnie; całkiem nie po dziecięcemu. Nie lubi tego bolesnego skupienia, bo ono tylko dokucza; niczego nie wyjaśnia.

Czasami, tak już między jawą, a snem, ale nie zawsze jakby na specjalne okazje i w rozmarzeniu wyszeptuje: „Tata”.

Gdyby był tata, nie musiałaby być tak czujna.

„Marność nad marnościami i wszystko marność” (Koh 1,2)

- Jakim człowiekiem był zmarły? - pyta ksiądz.

- Zwyczajnym..., dobrym... - z trudem panując nad sobą, odpowiada Barbara i wybucha płaczem.

Boże mój, jak trudno być zwyczajnym, dobrym człowiekiem.

Przez osiemdziesiąt lat ciężkiego, steranego życia Jerzy robił po prostu to, co do niego należało. Pracował, wychowywał dzieci, troszczył się o rodzinę i żył przyzwoicie, ale los jak to los, potrafi każdym pozamiatać.

Piętnaście lat temu opuściła go żona. Dlaczego? Ani on, ani troje już przecież niemłodych i doświadczonych życiowo dzieci, nie potrafią do końca zrozumieć przesłanek, którymi się kierowała podejmując tak dramatyczną decyzję. Jej argumentacja jest tak szokująco absurdalna, że zdrowy rozum odrzuca ją natychmiast, w całości. Niepojęta, nonsensowna, zapiekła niechęć. Skąd to tak? Dlaczego? Bóg jeden wie. Pewno drobne, a przez to ignorowane i nigdy nie rozwiązywane problemy przekroczyły kiedyś jakąś masę krytyczną i życie się rozpadło.

Klasyczny, egzystencjalny węzeł gordyjski jakich zresztą pełno w relacjach między ludźmi. Od lat więc, nie jętrzą już tej rany, bo i po co. Do diabła z psychoanalizą dla ubogich.

Szpiczak mnogi wysysa z Jerzego życie. Jeszcze w maju mógł wstać z łóżka, potrafił sam się umyć, jadł, nawet żartował; żył... i nagle w ciągu jednej nocy przyszedł kryzys.

Wychudzone, pokurczone bólem ciało wymyka się woli; nie słucha. Czasami rzeczywistość nie dociera do świadomości, a pamięć wycieka z niej jak z durszlaka. Wzywa wtedy po imieniu przemieszczone cienie z przeszłości. Nasłuchuje czy nie nadchodzą i znowu cicho je wzywa.

Potem wraca trzeźwość, a razem z nią zwykły ludzki strach, pewno lęki metafizyczne, ale najgorszy jest wstyd, bo przecież... fizjologia. Sam już nic koło siebie nie robi. Dzieci. Synowie... nawet przed nimi czuje skrępowanie, ale córka; przecież to kobieta. Boże, kobieta i córka, i jego wstyd. Dzieci nie powinny oglądać ojca w takim stanie, zwłaszcza córki.

Podczas czynności higienicznych osłabłą dłonią przesłania oczy. Córka również stara się nie patrzeć.

Raz szepnął jej do ucha, że gdyby miał siłę, to by się zabił.

Nawet rozpacz i desperacja są jednak zbyt słabe.

Poczekaj. Już niedługo.

"Lecz kto cudzoloży, ten jest niemądry; na własną zgubę to czyni" (Prz 6,32)

- Eh, co za kobieta. Ależ ona ma klasę... i kocha się... Boże, jak ona się kocha... Nie ma takiej drugiej na całym świecie – wzdycha trochę pijany, ale absolutnie oczarowany Witek.
- Aleś ty pokręcony. Puściła cię w trąbę bez najmniejszych skrupłów – odpowiadam zdziwiony.
- Przecież to już chyba pięć lat minęło – przypominam sobie, wychylając kieliszek i spoglądam pytająco na bujającego w obłokach rozmówcę.
- Wiesz, ona jeszcze będzie moja i będzie pięknie - nie zrażony moim sceptycyzmem śni głośno i na jawie.
- Nie poradzisz sobie – deklaruję niewiarę wobec trwałości tego typu związków.
- Poradzę sobie, poradzę – oznajmia cicho, ale stanowczo.

Kurwa, niektórym i piekło słodkie.

Weronika myślała o sobie, że jest dziewczyną, z którą można konie kraść, bo wtedy, w PRL-u lat osiemdziesiątych, ona, córka prominentów, co prawda średniego szczebla i, bądźmy szczerzy, prowincjonalnych, wyróżniających się jednak na tle pipidowatego tłumu, bratała się z rówieśnikami pochodzenia robotniczo-chłopskiego bez żadnych szczególnych oporów. Między nimi mogła gwiazdować i brylować, no i świeciła tym odbitym blaskiem blichtru drugiej kategorii; ile wlaźło. Wiadomo, światowa była. Niemniej dopiero jej pierwszy, taki na poważnie chłopak, po którym właściwie wcale niczego się nie spodziewała, ten przed nią dopiero światy pootwierał.

Zapał i naiwna wiara z jaką traktował ideologie hippisowskie była wręcz rozbrajająca i obezwładniająca równocześnie. Kiedy z ogniem w oczach opowiadał jej te wszystkie bzdury o totalnej wolności, to patrzyła w niego jak w tęczę. Wolność od wszystkiego w atmosferze stanu wojennego; śmiech w żywe oczy, ale tej innej, jednak wymagającej, która wiązała obowiązkiem nie potrzebowali i nie chcieli. Zidioty, dogmatyczny upór wobec prawdziwej miłości. Banalna nadzwyczajność buntu młodych przeciw prawom, na których wszechświat stoi.

Wierzyła mu jednak żarliwie; wierzyła w ten patchwork pozszywany z niepasujących do siebie kolorami łatek.

Cała miłość sprowadzona do seksu. Pieprzyli się bez opamiętania; jak się dało i gdzie tylko się dało. Perwersję poprzebierali w fantastyczne zaklęcia. Niszczył ich ten bzdet. Mimo wszystko, tak rozpuszczony związek trwał kilka ładnych lat. A zakochany dureń? Przecież nigdy nie chciał się z nikim nią dzielić, ale wciąż mamił i nęcił, a skoro tak, to...

Opuściła go zaraz po ślubie, bo kilka miesięcy wcześniej, czego jakoś nie zauważył, nawiązała romans z jego kolegą Witkiem, także wielkim romantykiem, który uwiódł ją na filozofię Wschodu. Taki z niego był buddysta czy taoista jak z koziej dupy trąba, ale to nie miało żadnego znaczenia. Było romantycznie, egzotycznie i bezrefleksyjnie. Miodzio.

Porzucony mąż, kochanek i ogłupiały idealista odchorował niefrasobliwość wobec wymogów ludzkiej natury długotrwałą depresją i prawie życia zbył, natomiast Witold pokochał Werę miłością na zabój. Marzenie mu się spełniło i chłopak pomimo taoizmów i buddyzmów, które były dla niego w istocie rzeczy

tylko kartkami pocztowymi z nigdy nie widzianych krajów i klimatów, stał jednak obiema nogami mocno na ziemi, więc ślub z kobietą jak bajka, wspólne życie, mieszkanie, praca... czyli poezja życia. Tak, tak; poezja. Jasne, że podobały mu się te miłosne wygibasy, w których Wika była mistrzynią, a on młody, zdrowy jak Bruce Lee..., więc niby jak? Pozwalał jej się w to wkręcać, chociaż czuł, że to nie tak... razem powinno się żyć chyba inaczej. Nie rozpaczał oczywiście; było dobrze i jakoś turlało się to istnienie na wynaturzonym rauszu.

Lecz, dopadło go... ni z tego, ni z owego; zadowolenie zaczęła mrowić i pożerać dokuczliwa zazdrość. Imprezy towarzyskie stały się duszne. Nie znosił, kiedy koledzy obmacywali mu żonę wzrokiem. Jej rozmowy z innymi mężczyznami, uśmiechy, które rozdawała na lewo i prawo. To wszystko sprawiało dojmujący ból.

Chodziło głównie o Mariusza. Witek zauważył, że za dużo go między nim i jego kobietą, ale jakże się wstydził tego co widzi, bo przecież konwencja życia otwartego, którą w głupim rozanieleniu pozwolił sobie zaimplantować, była dla niego bezdyskusyjnie sprawą honoru. Jak to? Posądzac ukochaną i kolegę o knowania i zdradę; wolałby zapaść się pod ziemię. Lepiej było przeczyć rzeczywistości, podobnie jak to czynił jego poprzednik.

Któregoś dnia Weronika oznajmiła mu, że odchodzi, więc kurwa, zbliżał się, zbliżał i w końcu nadszedł ten czas apokalipsy.

Było gorzko, bardzo gorzko. Minęło pięć długich lat przepełnionych goryczą i złowróżbnymi zamyśłami. Obserwował ją nienachalnie i w spokoju, ale czujnie. Kiedy nieunikniony kryzys dotknął trzeciego małżeństwa Weroniki Witek był na miejscu.

Hm... bezwstydnny porządek dziobania, czy romantyczna wierność aż po grób?

Znowu są razem. Od piętnastu lat śledzi każdy jej ruch. Kiedy Wika wraca ze sklepu, czuje chwilową ulgę; jest. Bywa, że kiedy zjawia się w domu po pracy, zastaje ją kompletnie pijaną w kałuży moczu i wymiocin. Sprząta mieszkanie, z czułością myje ukochaną i układa ją do łóżka; jest.

Chowa przed nią alkohol i medykamenty, wydziela jej pieniądze, a ona jest.

Zupełnie straciła urodę i cały, dawny urok. To dobrze. Niech inni tak ją postrzegają

Ona i on; są ludzkimi wrakami, w każdym względzie. Czołgają się, ale... niektórym i piekło słodkie.

"Jak gdyby było coś nieszczęśliwszego od człowieka, nad którym panują urojenia"

Pliniusz Starszy

- Cierpienie. Moje cierpienie. Kurwa!!! Moje cierpienie!!! No i może jeszcze Jezusa..., ale to tyle.

- Ty, kurwa, nigdy nie zrozumiesz mojego cierpienia i wypierdalaj z tą zadowoloną z siebie michą!!! Gdzie.

Kiedy pięćdziesiąt dwa lata temu Anna przysłała na świat, to od razu była, nie tyle małym Mozartkiem, bo mały Mozartek, dojrzały Mozart czy w późniejszych wiekach wielgachne Mozarcicho, byli jedynie antycypacją, byli bładą zapowiedzią istnienia jej, Anny; dziewczynki, dziewczyny, kobiety najpiękniejszej i najmądrzejszej w klasie i w ogóle człowieka wszech talentów; kobiety skazanej na wielkość. Takie wyroki... Eh, życie. Takie wyroki.

W wieku dwunastu lat, jako dziecko z prowincjonalnego miasta wygrała casting na epizodyczną rolę w filmie kryminalnym. Film taki sobie, rola... rólka właściwie, ale film to film, a rola to rola. Posmak podziwu jej nie speszył.

Kiedy zaczęła pisać, udane wiersze, teksty piosenek, recenzje, skecze, bajki, to te wszystkie teksty aż się jej perliły spod pióra. Łatwizna i nudy, nudy i łatwizna. Tworzenie muzyki też przychodziło niczym oddychanie. Nie było nad czym pracować. Zbyt małe to, zbyt niskie.

W wieku piętnastu lat zrozumiała, że i w chłopakach może przebierać jak w ulęgałkach. Nie poczuła się tym specjalnie zaskoczona.

Życie upływało i nadszedł czas większych wyzwań, czas naprawy świata.

Jest religijna i bardzo pociągają ją idee lewicowe. Nie bacząc, więc na fundamentalne sprzeczności skleciła z tego jakąś miazgę światopoglądową, w której pierwsze skrzypce zaczęło grać cierpienie. Cierpienie ziemi i kosmosu, ludzi i zwierząt. Cierpienie prowadzi do zbawienia i zbawienie jest w cierpieniu.

Tak, powodzenie sprawy mogło jej przynieść uwielbienie, jakiego jeszcze nie doznała. Propagowaniem idei zajęła się sumiennie i organicznie; rodzina, przyjaciele, znajomi i tak szerzej i szerzej. Taki plan.

Letni wieczór. Ognisko w ogrodzie jednego z naszych znajomych. Gwar rozbawionej dziatwy i cichsze rozmowy dorosłych. Takie tam luźne głędzenie o sztuce, filozofii, religii i paradygmacie naukowym. Relaks. Pieczemy kielbaski. Charakterystyczna woń wzmagająca wydzielanie kwasów trawiennych unosi się w powietrzu. Marysia, młodsze z dwojga dzieci Anny podbiega do rodzicielki i krzyczy:

- Mamo, mamo!!! Jaki smakowity zapach.

Odpowiedź Anny jest krótka i kategoryczna jak strzał z bicia:

- Przecież wiesz, że my nie jemy mięsa. Zwierzątka też chcą żyć.

Spogląda na nas z nieukrywaną moralną wyższością, my na nią ze zdawkowym politowaniem, a Marysia ze spuszczoną głową, powoli idzie w kąt werandy.

Najpierw odszedł mąż, a dzieci mając poczucie, że mieszkają w domu wariatów pouciekały w swoje własne światy, tak zwane środowisko też ją wypuściło z werdyktem: zbyt egzaltowana, zbyt absurda i zbyt zgorzkniała.

Prawie trzydzieści lat misji i nic.

Ludzie to banda skurwysynów i niedojrzałe barany. Gdzie jesteście zadowolone i zobojętniałe gady?

Sama brnie w to dalej, ale jeszcze im wszystkim pokaże... cierpienie takie... no nie do wytrzymania. CIE-R-PIE-NIE.

„Przerażenie samo się zdębi ze strachu przed sobą”

Stanisław Ignacy Witkiewicz

Niebo przypominające barwą błękitną lagunę, a na tym bezkresie lazuru słońce, które lśni niczym złoty medal olimpijski, ponadto wzrok i podniebienie syci kufel chłodnego, bursztynowego napoju z pianką. Niedzielne, majowe przedpołudnie. Ogródek piwny. Jestem sam, lecz oto...

Kilka stolików przede mną, żywo dyskutując o czymś zasiada dwóch braci, Kazik i Darek. Kiedyś dużo się o nich mówiło; stara chuliganka jastrzębska, ale to już raczej wyblakłe splendory. Mają swoje lata.

Czuję wzmożoną potrzebę oddania nadmiaru płynów naturze. Wychodzę do toalety, a tamci coś wykrzykują do siebie, gwałtownie przy tym gestykulując.

Z ulgą wracam na miejsce. Żar leje się z nieba, ale wiaterek chłodzi rześką bryzą. Kazika już nie ma. Darek wpół siedzi, a wpół leży na stoliku. Jest nieprzytomny. Broczy krwią z rozbitego nosa. Na blacie zbiera się niewielka kałuża czerwonej, gęstej cieczy.

Dobre samopoczucie trafia szlag. Informuję barmankę co i jak, i aby dała znać komu trzeba. Wychodzę.

- Co jest z tymi Witkowskimi? - pytam Heńka i krótko opowiadam o wczorajszych wypadkach w klubie Panorama.

- Kazik jebnął Darkowi? Norma. Silniejszy. - tłumaczy i dodaje:

- Słuchaj, niby fajne chłopaki, ale jak sobie popijają, to kłócą się o co tylko popadnie..., a każda kasa idzie na przelew; nie ma, że boli. Wiesz, wzajemnie posądzają się o jakieś drobne kradzieże, wyimaginowane najczęściej...Oj wiele by gadać; dziki syf i tyle. No i mieszkają sami w jednym mieszkaniu.

- Tak na siebie działają - kończy.

Z głośników płynie głośna rockowa muzyka. „Forty to one” zespołu Sabaton. Patos i katedralność prawie.

Kwaśny smród zwiędzłego piwa miesza się z kłębam papierosowego dymu. Lepkość brudu, ponure,

zmęczone przepicie i duszny mrok.

- Czterdziestu do jednego!!! - schrypłym głosem wykrzykuje Kazik. Zmętniała, bombastyczna wzniosłość i łyzy wzruszenia spływające bruzdami zmarszczek w kąciaki zaślinionych warg. Słuszny gniew. Zaciśniętą pięścią wali w upakowany blat stołu kuchennego, po czym głowa bezwładnie opada mu na wąską pierś. Czeka głośno.

Darek wybudza się z letargu i w wielkim znoju spotęgowanym niezdolnością ruchów próbuje skrócić papierosa.

Tytoń z gwałtownie otwartej puszką rozsypuje się po podłodze. Odstawia ją niepewnie na parapet. Dzikim, niewidzącym wzrokiem toczy wokół siebie. Coś zaczyna kojarzyć.

- Gdzie są bibułki? Gdzie są moje bibułki? - bełkocze i karykaturalnie marszczy brwi.

Gibie się na miękkich nogach wte i wewte, ale stoi. Szarpie brata za rękaw koszuli i mamrocze:

- Gdzie są moje bibułki?

Ciało Kazika na szarpnięcia reaguje jak wiej na podmuchy wiatru. Śpi. Darek gorliwie domagający się odpowiedzi uderza go otwartą dłoń w twarz.

Gwałtownie wybudzony Kazik spada z krzesła na podłogę i wtem gwałtowny przypływ adrenaliny.

Jak u jednego strzał, to i u drugiego strzał. Dynamika rozjuszenia i szal bitewny. Ręka, długi kuchenny nóż, głowa, pierś, tors wroga i dżganie w zapamiętaniu, aż po sam trzonek. Darek bezwładnie osuwa się po ścianie. Jaskrawa czerwień zamalowuje brud pomieszczenia. Potęga koloru zwycięża.

Oniemiały Kazik pyta:

- Jak to tak?

Zakład karny. Strzelce Opolskie.

Funkcjonariusz służby więziennej własnym oczom nie chce uwierzyć. Z przerażeniem patrzy na półnagię ciało bezwładnie zwisające na pętli, którą denat sporządził sobie z nogawek dresowych spodni.

- Ozzzz... kurwa, że też na mnie trafiło.

Wisielec w więziennej celi... śmierć to, prawdziwa śmierć czy popkulturowa sztanca?

Samotność – rozpaczliwe poczucie opuszczenia, bezradności i braku nadziei.

Samotność – przedsiónek piekła.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z

dnia 4 lutego 1994r.).

Mirosław Sliwa, dodano 07.03.2017 18:41

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.